Rzymski siepacz w naszej głowie



Gdzie dziś jesteśmy? Dokąd doprowadził nas czas pandemii? W jakim miejscu znalazł się Kościół w Polsce? Patrząc z perspektywy społecznej, wyraźnie wyczuwalne staje się napięcie, narastająca frustracja i zmęczenie. Ludzie mają dość, a przecież to wcale nie koniec i najbliższa perspektywa wcale nie rysuje się świetlanie. A jednak wciąż uparcie twierdzę, że obecny czas to nie przekleństwo lecz błogosławieństwo, a raczej, że stanie się dla nas tym, czym sami go uczynimy.

„Gość Niedzelny”

Oprócz wszystkich innych zawirowań, kryzys spowodowany przez koronawirusa z pewnością przełoży się na turbulencje ekonomiczne, które z kolei w mniejszym lub większym stopniu dotkną każdego z nas. Już zresztą dotykają. Przyszłość dla wielu rysuje się więc ponuro i generuje lęk, szczególnie u tych, którzy obawiają się o funkcjonowanie swoich firm lub o utratę pracy. Jeśli dodać do tego przymus ciągłego przebywania w domu, często z małymi dziećmi, które roznosi energia, ograniczenia w poruszaniu się, utrudnienia w zakupach, zamknięte place zabaw, parki, zakaz wstępu do lasu i ryzyko mandatu nawet za głupie samotne bieganie, nie dziwi już fakt, że w sercach i umysłach ludzi coraz bardziej wrze.

Szczególny czas przeżywa również Kościół w Polsce. Tegoroczny Wielki Post dzień po dniu, jak nigdy dotąd, odzierał nas z wszystkiego, wrzucając wielu w odmęty smutku, opuszczenia i bezradności. Wraz z informacjami o kolejnych zarażeniach, zgonach i ograniczeniach, traciliśmy to, co do tej pory, dla niemałej części z nas, było fundamentem stabilności. Runęły bezpieczne punkty oparcia. Pandemia obnażyła nie tylko faktyczny poziom naszego ubranego w czarnowidztwo i pseudoapokaliptyczne wizje lęku, nieumiejętność spokojnego zaufania Bożej Opatrzności, braki w teologicznym wykształceniu i doktrynalną samowolę - zwłaszcza tę, która subiektywne duchowe intuicje i religijne "widzi mi się" przedkłada ponad wartość pokornego posłuszeństwa.

Pandemia pokazała również, jak bardzo nie radzimy sobie, gdy okoliczności wyrywają nas z naszej strefy komfortu, jakakolwiek by ona nie była – ekonomiczna, zdrowotna, duchowa. Na szybko zaczęliśmy więc poszukiwać winnych wokół siebie, a ponieważ wirus to zbyt enigmatyczny przeciwnik, lepiej było nadać mu bardziej zrozumiałe oblicze: diabła, masonów, prymasa, prezesa czy kichającego sąsiada spod piątki. W konsekwencji siła przeżywania religijnego żalu wyniosła nas w obszary nieomal mistyczne, ale sposób jego uzewnętrzniania zatarł różnicę między chrześcijaninem a poganinem.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Staliśmy się specjalistami od teologii, polityki, medycyny, gospodarki i ogólnoświatowych spisków, a łatwość formułowania opinii zastąpiła nam zdrowy rozsądek. Rozpoczęliśmy więc chocholi taniec w rytm upiornych taktów koronawirusa, zupełnie bez kontaktu z faktem, że z ofiar weszliśmy w rolę jego wspólników w szerzeniu zamętu, bezładu i ludzkiej krzywdy. Co więcej, te wszystkie nasze katolickie i ogólnoludzkie frustracje, choć gdy zostają uzewnętrznione, przynoszą chwilową ulgę, w rzeczywistości robią nas w konia; odbierają nam bowiem to, co najistotniejsze - okradają nas z czasu łaski.

Rodzi się we mnie pytanie: „Ile żalu już wykrzyczałeś? Ile złości, agresji wywaliłeś już z siebie w internet, w społecznościowe media, w komunikatory wszelkiego typu i maści? Ilu ludzi obraziłeś? Zdiagnozowałeś już patologię władzy, policji, rządzących i aspirujących do władzy? A może skupiłeś się na domniemanym tchórzostwie biskupów i gorszącej uległości księży, co ci Boga odbierają? Jeśli tak, to może już najwyższy czas wyhamować i zastanowić się, czy aby nie przeszarżowałeś? Czy na pewno ten wirus, to samo przekleństwo? A może błogosławieństwo? Może właśnie posługuje się nim Bóg, niczym dramatem sprzedanego do Egiptu Józefa, żeby skontaktować nas z czymś zupełnie podstawowym.

Co mówią nam, katolikom i Kościołowi w Polsce znaki czasu, który obecnie przeżywamy? Przede wszystkim, że nie ma już komfortu religijnej oczywistości i bezpiecznych praktyk, którymi moglibyśmy kupić spokój sumienia. Nie ma tradycyjnych środków, które przez lata nas prowadziły i, być może, usypiały. Pozostaje wiara nieoczywista, odarta ze wszystkiego, skazana na pokorne trwanie w doświadczeniu innym, niż tradycyjny rytuał i poczucie dobrze wypełnionego religijnego obowiązku. To wiara, która odwołuje się do więzi zbudowanej w ludzkim sercu między człowiekiem a Bogiem. Jak jednak zaufać tej więzi? Jak uwierzyć w to, że gdy biorę Pismo Święte do ręki i wytrwale siadam z nim do medytacji, otwierają się nade mną zdroje łaski? Jak zaufać temu, że gdy czynię znak krzyża, klękając w mojej izdebce do modlitwy, przenoszę się w serce Trójjedynego Boga? Jak temu zaufać, skoro nie mam żadnego obiektywnego potwierdzenia - nigdzie nie byłem, w niczym nie uczestniczyłem, nie zaliczyłem żadnej ustanowionej prawem religijnej aktywności, niczego nie nawiedziłem i nawet jajek nie poświęciłem? Tak oto biczuje nas trud zaufania własnemu sercu - temu, że może być ono miejscem uprzywilejowanego spotkania z Bogiem mimo braku wszelkiej pomocy z zewnątrz. Krzyżuje nas wysiłek zamiany sformalizowanej pobożności na dialog z Bogiem we własnym wnętrzu. Tracimy religijne zachowania na rzecz postawy wiary - tej, która nie znosi religijności, ale nadaje jej kształt autentycznej chrześcijańskiej dojrzałości. To jest nasze przejście - Pascha, którą podarował nam Pan. Czy wykorzystamy ten czas łaski?

Oczywiście możesz dalej pławić się w żalu. A gdy już tak się rozsmucisz, że serce nieomal ci pęknie, wtedy już łatwo swój żal w gniew obrócisz przeciw całej niesprawiedliwości świata tego, która użyła wirusa, żeby ci duchową krzywdę zrobić. Dopiero, gdy ją do krwi wysmagasz słowem i czynem jak flagrum, wtedy dopiero odetchniesz w poczuciu dobrze przeżytej drogi krzyżowej. Jak rzymski siepacz. Możesz jednak zatrzymać się na chwilę w sobie i zobaczyć, że pośród całego dramatu zainfekowanej ludzkości, pośród umierających ludzi wybrzmiewa dziś szczególnie mocno wezwanie, które kieruje do nas Pan: "Nabierzcie ducha i podnieście głowy, ponieważ zbliża się wasze odkupienie" (Łk 21, 28). I nie chodzi o to, że za chwilę czeka nas eschaton poprzedzony klęską Antychrysta. Chodzi raczej o to, że może po raz pierwszy mamy okazję tak bardzo osobiście przeżywać samotność, ogołocenie i mękę Chrystusa. Może wreszcie tak bardzo prawdziwie On może umrzeć w nas, a my zmartwychwstać w Nim. W gruncie rzeczy wybór znów należy do nas. Możemy z odwagą wejść z Chrystusem w nowe życie albo uparcie pozostawać w grobie.